

Wspomnienia Ireny Przybyłowskiej – Hanusz

1945 - 1951



W 1945 roku zamieszkaliśmy w Szczytnie w kompletnie wyszabrowanym domu przy ulicy Tannenberg, która wkrótce stała się ulicą Bolesława Bieruta, a obecnie jej patronem jest Władysław Sikorski. Po przeciwnej stronie ulicy, obok bloków, znajdował się samotny grób radzieckiego żołnierza. Nie były to czasy spokojne, niedaleko naszego domu wepchnięto jakiegoś człowieka pod koła pociągu, a któregoś ranka pod naszymi oknami znaleziono zastrzelonego w nocy funkcjonariusza Urzędu Bezpieczeństwa, sprawcy pozostali nieznani. Były kłopoty z aprowizacją, pamiętam gliniasty chleb z całymi ziarnami i łuskami i „uczte” wielkanocną, na której daniem głównym i jedynym były kluski wymieszane z zawartością otrzymanej z „unry”

(UNRRA) puszki z napisem „Horse meat”. Pomoc Ameryki nie ograniczała się tylko do jedzenia, nadchodziły paczki, głównie od Polonii amerykańskiej, z odzieżą. Często znajdowały się w nich listy z adresami nadawców z prośbą o kontakt, wszelkie jednak kontakty z krajami kapitalistycznymi groziły oskarżeniem o szpiegostwo. Pojawił się również w Szczytnie ambulans szwedzki, udzielający bezpłatnej pomocy lekarskiej, pracowała w nim Polka doktor Piotrowska. Szwedzi prowadzili również akcję dożywiania w szkołach, nie pamiętam czy tylko dla uczniów, czy również dla pozostałych mieszkańców, gotowali obiady. Słynna była zupa czekoladowa z kluskami o przedziwnym smaku, ale za to pożywna.

Przez całą wojnę mieszkaliśmy z moją rodziną na wsi, na terenie tzw. Generalnego Gubernatorstwa, gdzie działały wprawdzie szkoły podstawowe, ale o bardzo okrojonym programie nauczania, dlatego moi rodzice z radością przyjęli propozycję miejscowej nauczycielki, że będzie mnie uczyć w domu wszystkich przedmiotów według obowiązującego przed wojną programu. Nie chodziłam do szkoły, nie miałam więc świadectwa szkolnego i nie było wiadomo w jakim zakresie opanowałam wiedzę obowiązującą w szkole podstawowej. W tym czasie dyrektor Michał Leśniewski, który organizował w Szczytnie Państwowe Koedukacyjne Gimnazjum Ogólnokształcące namówił moich rodziców, żebym przystąpiła do egzaminu do pierwszej klasy gimnazjum.. Powiedział, że powinnam spróbować, a jeżeli nie zdam, to przecież nic się nie stanie, pójdę do szkoły podstawowej. Nie byłam zachwycona tym pomysłem, bałam się egzaminu, a potem klasy, do której mnie jednak przyjęto.

Rozpiętość wieku była ogromna. Ja miałam jedenaście lat, posadzono mnie w pierwszej ławce razem z przesiedloną z Łucka trzynastoletnią Tereską Warpechowską, zaprzyjaźniłyśmy się z dwunastoletnią Basią Stefańską, która przyjechała z rodzicami z Ostrołęki. Jako grzeczne dziewczynki odnosiłyśmy się z ogromnym respektem do brodatych, wąsatych, palących papierosy i nie stroniących od alkoholu dorosłych mężczyzn, naszych

kolegów z klasy. Wychowawczynią i nauczycielką historii była pani Irena Kakowska. Zawsze bardzo elegancka, w modnej fryzurze, starannym makijażu oprócz wiedzy historycznej uczyła zasad dobrego wychowania i ubierania się stosownie do wieku, figury i sytuacji. Jej mąż i szwagierka prowadzili cukiernię czy kawiarnię „Pod pączkiem”. Państwo Kakowscy pochodzili z Warszawy i po kilku latach powrócili do stolicy. Kolejnym nauczycielem historii został profesor Stanisław Modelski. Po śmierci pierwszego nauczyciela matematyki został zatrudniony inżynier leśnik prof. Paweł Nowakowski. Geografii uczyła nas bardzo miła prof. Jurewiczowa, łaciny prof. Albin Budzyński, biologii profesor Michał Mazur, chemii, fizyki, przysposobienia obronnego profesor Leon Czerniewski. Języka angielskiego uczyły nas arystokratki: prof. Gabriela Trzaska (w życiu prywatnym używała imienia Ina), herbu Trzaska i baronowa Maria Kiste von Kister. Śladami dawnej świetności rodu, z którego pochodziła prof. Trzaska, była przepiękna, stara biżuteria. Na lekcjach angielskiego, zamiast skupić się na nauce, wpatrywałam się w przepiękne broszki, które pani profesor przypinała do bluzek. Przed wojną, przez szereg lat pracowała jako guwernantka, nauczycielka języka angielskiego w domach zamożnej arystokracji. Była osobą samotną, dlatego po przejściu na emeryturę i po śmierci ukochanego pieska, zamieszkała w Szczytnie w domu starców i tam umarła. Jedyny luksus, jaki jej zapewniono w ostatnich latach życia, to osobny pokój i możliwość korzystania z posiłków w swoim pokoju, a nie w ogólnej jadalni. O ile pani Trzascie zawdzięczaliśmy opowieści z życia wyższych sfer, o tyle pani baronowa Maria Kiste von Kister, która po niej uczyła nas angielskiego, dzieliła się z nami wspomnieniami z okresu pobytu w Afryce. Muzyki uczył prof. Mężyński. Na jednej z lekcji odbyła się rekrutacja do chóru. Pan profesor uderzał w klawisz fortepianu, a delikwent musiał powtórzyć dźwięk. O tych, którym się to nie udawało profesor mówił, że są głusi. Nie obyło się bez pomyłek. Ja nie mam zbyt dobrego słuchu muzycznego, jednak zostałam zapisana do chóru, a Krysia Sienkiewicz, późniejsza śpiewająca aktorka, zaliczona do głuchych. Podejrzewam, że chłopcy celowo fałszowali. Niektóre próby chóru odbywały się w domu pana profesora. Kiedyś takiej próbie przysłuchiwał się jego dorosły syn. Wszedł do pokoju bez słowa i stał kilka godzin w tej samej pozycji i z takim samym wyrazem twarzy. Profesor wraz z rodziną przyjechał z terenu dawnych Kresów Wschodnich. Jego syn rozchorował się psychicznie pod wpływem jakiegoś okrutnego wydarzenia, którego był świadkiem. Niezapomnianą postacią był powszechnie szanowany ksiądz Władysław Łaniewski, dawny misjonarz. Uczył nas religii i opowiadał o swoim pobycie zarówno w krajach afrykańskich, jak i na dalekiej północy. Nie mając pojęcia o łacinie musieliśmy się wszyscy (dziewczęta też) nauczyć ministrantury. W dwóch połączonych izbach lekcyjnych urządził kaplicę szkolną. Dokonał rzeczy pozornie niemożliwej, wywalczył zgodę PPR na przejęcie przez władze kościelne budynku komitetu powiatowej partii, argumentując swoje żądanie tym, że była tam wcześniej kaplica jednej z sekt religijnych. Dzięki temu przy ulicy Niepodległości powstała kaplica pod wezwaniem św. Stanisława Kostki, w której w 1954 roku ksiądz Łaniewski dawał mi ślub, a potem w 1956 i 1959 chrzczył moje dzieci Ewę Małgorzatę i Jacka Macieja. W pierwszych latach naszej nauki rozpoczynaliśmy lekcje modlitwą do Ducha Świętego, kończyliśmy ostatnią godzinę lekcyjną skierowaną do Boga modlitwą dziękczynną „za światło tej nauki, którą otrzymaliśmy”. W niedziele zbieraliśmy się przed szkołą i w szyku zwartym, pod opieką profesorów maszerowaliśmy do kościoła na nabożeństwo. Uroczyste pochody zarówno 1, jak i 3 maja, przechodziły wśród ruin zbombardowanych

domów główną ulicą miasta, której patrona Adolfa Hitlera zamieniono na Józefa Stalina. Nie mieliśmy podręczników, a ponieważ nie było również zeszytów, robiliśmy notatki na niezadrukowanych stronach niemieckich ulotek Aby zdobyć pomoce naukowe chodziliśmy do zbombardowanej szkoły, gdzie nasi profesorowie wygrzebywali z gruzów globusy, mapy, atlasy i inne pomoce naukowe. Wszelkie uroczystości odbywały się w auli, której ciemnoniebieski, ozdobiony gwiazdami, sufit, udawał niebo.

Naszym polonistą był dyrektor Michał Leśniewski. Spokojny, zrównoważony, taktowny, nigdy nie podnosił głosu, odnosił się do nas z szacunkiem, zwracał się do uczniów w trzeciej osobie np. „Czy mogłaby Przybyłowska przynieść dziennik?”. Był znakomitym polonistą, bywał również reżyserem. Wystawialiśmy drugą część „Dziadów”, Latocha, wysoki blondyn z naszej klasy, został Guślarzem, cała klasa była chórem wieśniaków, Tereska Warpechowska otrzymała rolę Rózi, Krysia Sienkiewicz była Józkiem, ja pacholęciem prowadzącym niewidomego starca. W trosce o właściwy poziom spektaklu pan dyrektor sprowadził na konsultację aktora z teatru w Olsztynie. Na premierze omal nie doszło do tragedii, kiedy ktoś niechcący podpalił trzymaną w ręce świecą zrobioną z lnianych paków brodę kolegi. Na szczęście udało się natychmiast dyskretnie pożar ugasić, ktoś poszkodowanemu wysmarował twarz zeszkobanym z chleba masłem, a publiczność niczego nie zauważyła. Niektóre sztuki reżyserował profesor Modelski. „Balladynę” wyreżyserowała, obsadzając siebie w tytułowej roli, nasza koleżanka Krysia Krajewska. Ona dokonała również przydziału pozostałych ról. Tereska Warpechowska, ponieważ była blondynką została Aliną, ja Goplaną, bo miałam długie włosy, Tereska Antoszkiewicz, bo taka spokojna, matką wdową, dwie najmniejsze Inka Krajewska i Krysia Sienkiewicz Skierką i Chochlikiem, Kirkorem Tadek Krajewski, a ze względu na podobieństwo nazwisk Witek Grabarczyk został Grabcem. Przedstawienie się udało, publiczność była zadowolona, chociaż Kirkor był zmuszony nie wypuszczać z rąk tarczy, na której miał zapisaną swoją rolę. Wielokrotnie jeździliśmy do teatru w Olsztynie. Szczególnie utrwalił mi się w pamięci spektakl „Moralność pani Dulskiej”, w którym w roli głównej wystąpiła Mieczysława Ćwiklińska. W naszej szkole często odbywały się spotkania z poetami i pisarzami. Zawsze witaliśmy autora wykonaną przez kogoś z uczniów recytacją jego wiersza lub fragmentu prozy. Spotkanie z Jalu Kurkiem zaważyło na przyszłości Witka Grabarczyka. Pisarz zachwyił się jego recytacją, zapewnił o talencie i nakłonił go do wyboru zawodu aktora. Po maturze Witek przeczytał gdzieś informację o tym, że w Katowicach powstaje studium teatralne, którym będzie kierował Gustaw Holoubek. Tak, jak stał w krótkich spodniach, harcerskim mundurku pojechał na egzamin. Na widok innych kandydatów pewnych siebie, wystrojonych trochę się spieszył, ale wszedł na salę egzaminacyjną. Na pytanie co przygotował odpowiedział, że w szkolnym przedstawieniu grał rolę Grabca. Jeden z członków jury grał właśnie tę rolę w teatrze, był ciekaw, jak zaprezentuje tę postać amator. Interpretacja Witka spodobała się jury. Dalsza część egzaminu była już tylko czystą formalnością. Witek został aktorem, grał na wybrzeżu, w Katowicach, był dyrektorem teatru w Zabrze, obecnie on i syn jego i Krysi Krajewskiej Andrzej grają w warszawskim teatrze Kwadrat i występują w telewizyjnym serialu „Klan”, Krysia od szeregu lat nie żyje. Nie pamiętam w którym roku pojawiła się w naszej szkole Lodzia Bomertówna, córka właściciela sklepu mięsnego. Poprzednio uczyła się zapewne w szkole baletowej, ponieważ zaczęła nas uczyć tańca. Osobą bogato obdarowaną przez Boga w artystyczne talenty była Krysia Sienkiewicz, która świetnie rysowała,

zdobywała nagrody w konkurach literackich, z natury giętka, gibka bez żadnego trudu wykonywała najbardziej skomplikowane figury taneczne ze szpagatem włącznie. Wyszkolone przez Łodzię wystawiłyśmy na szkolnej scenie taniec grzybków (Sienkiewiczówna była krasnoludkiem) i taniec kwiatów. Na tym skończyły się nasze popisy baletowe, ponieważ Łódź, jako bywalczyń zabaw publicznych w sali „za drągiem” i oficerskiego kasyna, została nakłoniona do opuszczenia naszej szkoły. Wszechstronnie uzdolniony był również Zbyszek Chmielewski świetny humanista, doskonały matematyk i sportowiec. Uczniowie naszej klasy pochodzili z różnych stron Polski, wiele osób było repatriantami z Kresów Wschodnich, kilka osób pochodziło z Warszawy, kilka z Poznania, z Makowa, Przasnysza i Ostrołęki. Autochtonem był Janusz Bohlman, po zdaniu matury spotkałam go kilkakrotnie w Warszawie, gdzie studiował na politechnice, a po ukończeniu studiów wyjechał na stałe do Niemiec. Częstymi gośćmi w moim domu były Krysia Sienkiewiczówna, Tereska Warpechowska, Krysia Krajewska. Po maturze Krysia studiowała grafikę na ASP w Warszawie, mieszkaliśmy blisko siebie i bardzo często się spotykałyśmy. Występuje w teatrach, filmach, telewizji, śpiewa, rysuje, maluje, napisała kilka książek, opiekuje się zwierzętami, mieszka w Warszawie. Matka, mojej bliskiej koleżanki, Maryli Michalakówny była w Szczytnie wychowawczynią w domu dziecka. Została aresztowana przez UB, w czasie, kiedy Maryla była w szkole. Kiedy wieziono ją do obozu pracy, na dworcu kolejowym w Szczytnie uprosiła kolejarza, żeby poszedł do szkoły i powiadomił córkę o tym, co się stało. Maryla była wówczas w ostatniej klasie, w Szczytnie nie miała żadnej rodziny, dlatego zamieszkała w naszym domu. Po maturze wyjechała do Krakowa do ciotki. Jako córka „wroga klasowego” miała trudności w dostaniu się na studia. Zaczęła studiować germanistykę, ale z powodu choroby musiała przerwać naukę. Ostatecznie skończyła studia medyczne, została okulistką, wyszła za mąż za lekarza, mieszkała z rodziną w Grodkowie koło Opola. Od szeregu lat nie żyje. Jej syn Marek Maślak jest również lekarzem, z żoną i córką mieszka i pracuje we Wrocławiu, przyjaźni się z moim wnukiem. We Wrocławiu mieszkała również Ela Jelińska – Szymczyk. Obie z Marylą odwiedzały mnie często w Szydłowcu. Ela niestety też nie żyje. Tereska Warpechowska - Krakowa ukończyła rusycystykę, pracowała w szkole. Po przejściu na emeryturę przeniosła się z mężem z Katowic do Wrocławia, gdzie mieszka z mężem i synem jej córka Agnieszka.

Ważną rolę w życiu moim, moich koleżanek i kolegów pełniło harcerstwo. Należałyśmy do I Żeńskiej Drużyny Harcererek im. Emilii Plater „Słońce”. Należałam, wraz z moimi najlepszymi koleżankami, do III zastępu „Świt”. Nosiłyśmy żółte chusty, a nasz zastęp miał nawet swój hymn, do którego słowa ułożyła Tereska Warpechowska. Naszą zastępową była Zosia Lewicka, która mieszkała w Szczytnie z matką i siostrą, ojciec po wielu latach, ciężko chory, powrócił do nich z gułagu. Drużynową została Wanda Żenczykowska. Najpierw nie miałyśmy mundurów, ubrano nas w granatowe, piekielnie gorące, wełniane garsonki, które podobno nosiły kobiety w oddziałach pomocniczych armii amerykańskiej. Z radością zamieniłyśmy je z czasem na tradycyjne, szare harcerskie mundurki. W okresie wielkanocnym stałyśmy na warcie przy Grobie Chrystusa, z żółtej waty robiłyśmy kurczątki, które potem sprzedawałyśmy, a pieniądze przeznaczałyśmy dla ubogich, dla niezamożnych rodzin zbierałyśmy odzież, dekorowałyśmy kwiatami ołtarze, brałyśmy udział w pochodach 3 maja, później niestety zmuszane również w pierwszomajowych. Organizowałyśmy podchody, biwaki, ogniska, jeździłyśmy na obozy Pierwszy obóz zorganizowano pod

Olsztynem. Mieszkałyśmy nad rzeką Łyną w poniemieckich domkach campingowych. Same gotowałyśmy, pamiętam dotąd przypaloną kaszę i jajecznicę z proszku, było biednie, ale wesoło. Na obozie w Kulce czy Arżynach były już świeże owoce i warzywa, gotowała kucharka, my byłyśmy tylko podkuchennymi. Po drugiej stronie jeziora mieli obóz chłopcy z Jędrzejowa, spotykałyśmy się z nimi na ogniskach, apelach, a w czasie nocnego podchodu zdobyłyśmy ich flagę.

Nie wiem jak to się działo, ale mieliśmy czas na wszystko, na odrabianie lekcji, na zbiórki harcerskie, miłośnicy sportu na imprezy sportowe, wszyscy na prywatki, które odbywały się w prywatnych domach, ale szkoła musiała wiedzieć u kogo i teoretycznie rzecz biorąc można się było spodziewać, że jakiś przedstawiciel grona pedagogicznego wpadnie na chwilę, żeby zobaczyć jak się bawimy.

Nasza szkoła nie miała dobrej opinii u władz polityczno – partyjnych. Coraz częściej zjawiali się działacze partyjni, wygłaszali pogadanki, starali się nas uświadamiać pod względem politycznym. Jeden z nich na spotkaniu z młodzieżą usilnie namawiał do szczerych wypowiedzi gwarantując absolutną bezkarność. Skorzystał z tego zapewnienia Janusz Czerniewski, poddając krytyce socjalizm i tego samego dnia wieczorem był już przesłuchiwany przez UB.

Do tego siedliska „czarnej reakcji” przysłano aktywistów ZMP z Olsztyna, którzy brali udział w posiedzeniach Rady Pedagogicznej i dbali o właściwe „oblicze polityczne” szkoły. Oczywiście nie było już modlitw przed lekcjami i po lekcjach, zniknęła z budynku szkolnego kaplica, nie chodziliśmy wspólnie na nabożeństwa, zalecono profesorom, aby po wejściu do klasy zamiast dzień dobry mówili „cześć pracy”. Tylko raz, po wejściu do naszej klasy, profesor Czerniewski powitał nas słowami „Cześć pracy”. Na to kolega Cimoszyński odpowiedział „Bóg zapłać” i został wyrzucony za drzwi.

Nastąpiły zmiany w harcerstwie: zniknął krzyż harcerski, lilijka, hejnał, modlitwa harcerska, zmieniono treść przyrzeczenia, zamiast słów harcerskiej piosenki „o rycerstwie spod kresowych stanic” mieliśmy śpiewać „mówi nam o walkach już stoczonych przez rycerzy spod znaków czerwonych”, pojawił się nowy znaczek. Nudne referaty, ideologiczne pogadanki zamiast gawęd przy ognisku, jednym słowem „nudy na pudy”. Zbuntowane przeciw tym zmianom, w bojowych nastrojach, pojechałyśmy na obóz harcerski do Przesieki, koło Jeleniej Góry. Przed wyjazdem zaopatrzyłyśmy się w odpowiednią literaturę i kilka roczników wypożyczonego od kogoś „Rycerza Niepokalanej”. Komendantką obozu była osiemnastoletnia dziewczyna z Olsztyna, która zupełnie sobie nie radziła w tej roli. Gotowała miejscowa góralka, zadaniem dyżurnego zastępu było obieranie warzyw i prace pomocnicze w kuchni oraz przynoszenie prowiantu. Namioty znajdowały się na górze, nie wiem, kto wpadł na taki pomysł, żeby magazyny z produktami spożywczymi zlokalizować na dole. Dyżurne z pustymi metalowymi kotłami schodziły z góry, wypełniały je prowiantem przeznaczonym na dany dzień i z tym ciężarem wspinały się pod górę, na teren obozu. Namioty nie miały kapturów, dlatego w czasie deszczu woda wlewała się do wnętrza. Nie było podchodów, gier terenowych, wycieczek, nudziłyśmy się. Komendantka nie szczędziła nam tylko wykładów, pogadanek, rozmów indywidualnych na tematy ideologiczne. Na pierwszym ognisku poinformowała nas, że nie będziemy śpiewać modlitwy harcerskiej, ponieważ jedna z naszych koleżanek jest Żydówką i byłoby jej przykro. Oczywiście nie przyjęłyśmy tego do wiadomości, co wieczór śpiewałyśmy modlitwę i hejnał, a w niedzielę

wbrew zakazowi czwórkami, w mundurach poszliśmy do kościoła, gdzie jak dawniej po mszy odśpiewaliśmy modlitwę harcerską. Nie cierpiałymy komendantki fałszywej, obłudnej, nie podobał nam się taki obóz, postanowiliśmy uciec. Uciekinierek było kilka, ale nie pamiętam już ich nazwisk, wiem, że jedną z nich była Krysia Sienkiewiczówna. Byłyśmy w zмовie z naszą kucharką, która udostępniła nam swoją wypełnioną sianem stodołę i przynosiła jedzenie z obozowej kuchni. Wreszcie przeżyliśmy coś, czego nam tak bardzo brakowało, przygodę. Rodzice byli o wszystkim poinformowani. Nie dali się komendantce zastraszyć, że popsuje nam opinię w szkole, bo jesteśmy niezdyscyplinowane. Zarzutem odpowiedzieli na zarzut, stwierdzili, że nie mają pojęcia gdzie my jesteśmy, powierzyli swoje niepełnoletnie dzieci jej opiece i jeżeli nam coś się stanie, ona będzie za to odpowiedzialna. A my po kilku dniach ukrywania się u góralki wróciliśmy do domu.

W szkole działało się coraz gorzej, coraz większy wpływ na szkolnictwo wywierały czynniki polityczne. W skład maturalnej komisji egzaminacyjnej wszedł tak zwany czynnik społeczny, który miał prawo zadawać pytania. Ponieważ tymi „czynnikami” byli ludzie mocno partyjni, ale niewykształceni z tego okresu pochodzi dowcip: „czynnik” pyta maturzystę o to, w której polskiej pieśni jest mowa o przedzeniu, maturzysta nie wie, „czynnik” tryumfalnie oznajmia, że przecież w hymnie narodowym śpiewa się „przędziem Wisłę, przędziem Wartę”. W ostatniej klasie poinformowano nas, że ponieważ ojczyzna potrzebuje nauczycieli będziemy uczyć się dodatkowo pedagogiki i psychologii i zdawać maturę również z tych przedmiotów. Miałam 17 lat, chciałam studiować, obie z Marylą Michalakówną, nie pamiętam czy ktoś jeszcze, zbuntowałyśmy się, nie chodziłyśmy na zajęcia z przedmiotów pedagogicznych i nie zdawałyśmy matury pedagogicznej.

Studiowałam filologię polską na Uniwersytecie Warszawskim, ukończyłam studia w 1955 roku. Na moim roku studiował również Władysław Sondej. Przez szereg lat absolwenci mojego roku spotykali się co roku w Warszawie. Postanowiliśmy uchronić od niepamięci nasze studenckie wspomnienia, w rezultacie powstała książka „Ta, nasza młodość” i drugi tom „Nasz ślad”, w którym opisujemy nasze dalsze losy., pracę zawodową, działalność społeczną, życie rodzinne. Myślę, że wspomnienia absolwentów naszego liceum byłyby również interesujące.

Moje curriculum vitae

Nazywam się Irena Przybyłowska – Hanusz. Maturę zdałam w Szczytnie w 1951 roku. Studiowałam filologię polską na Uniwersytecie Warszawskim w latach 1951 – 1955. Otrzymałam nakaz pracy do miejscowości, w której swój nakaz odpracowywał mój mąż lekarz weterynarii. Uczyłam języka polskiego, najpierw z powodu braku etatu w najbliższej szkole średniej, w starszych klasach szkoły podstawowej we wsi Chlewiska, a od roku 1961 aż do przejścia na emeryturę w roku 1991 w Liceum Ogólnokształcącym im. H. Sienkiewicza w powiatowym miasteczku Szydłowcu. Mieszkam z synem i synową nauczycielką we własnym domu. Syn Jacek pracuje, jako jeden z dyrektorów, w zabytkowym pałacu Odrowążów w pobliskich Chlewiskach, gdzie znajduje się hotel, restauracja, spa, stadnina koni. Córka Ewa Małgorzata jest lekarzem pediatrą, jej mąż internistą, ich córka Agnieszka endokrynologiem, mąż wnuczki radiologiem mieszkają i pracują w Stanach. Mój wnuk Jacek,

syn Jacka, jest dziennikarzem, mieszka we Wrocławiu. Mam trzyletniego prawnuka Franciszka w Stanach i dwie prawnuczki Zosię (3 lata) i Ewę (10 miesięcy) we Wrocławiu. Odkąd przeszłam na emeryturę dużo podróżuję, prowadzę młodzieżową grupę teatralną Zamczysko przy tutejszym domu kultury, od kilku kadencji jestem prezesem Stowarzyszenia na Rzecz Rozwoju Szydłowca, przewodnikiem po miejskich zabytkach. Napisałam kilka książek na temat szydłowieckich zabytków i szereg artykułów do lokalnej prasy. Utrzymuję kontakt z mieszkającymi w Warszawie Krysią Sienkiewicz i Witkiem Grabarczykiem oraz z Tereską Warpechowską - Krakową mieszkanką Wrocławia.